

Karol Samsel: Młot na kabotynów? Młot na weredyków? (Albo czym tak naprawdę są „Wschody i zachody księżycy”?)

Konwickiego inspiracyjność jest obezwładniająca – podobnie jak jego styl – przed Konwickim trzeba się obronić, odczuwać lęk przed wpływem, w każdym razie ja nie jestem urzeczony, a raczej sparaliżowany totalną atrakcyjnością jego intensywności... Mówiąc językiem Harolda Blooma, to klasyczny prekursor, przed którym efebą należałoby bronić, jeżeli tylko efeb nie potrafi bronić się sam – pisze Karol Samsel w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Konwicki. Historia i (mała) apokalipsa w trybie warunkowym”.

Raptularze, a może raczej raptularzowe sylwy Tadeusza Konwickiego, to całkowita antypoda autotematycznych esejów Jana Parandowskiego. Nieco ubolewam, że tak rzadko mówi się o Konwickim, Parandowskim...: dla mnie *Alchemia słowa* zostanie już zawsze całkowitym *contradictum*, *contradictum* na wielu płaszczyznach – *Kalendarza i klepsydry*, *Wschodów i zachodów księżycy*, *Nowego Świata i okolic*. Po pierwsze, chodziłoby tutaj o granice życia i literatury. *Alchemia słowa* to błyskotliwy pamiętnik rzemieślnika-artysty z równie głębokim szacunkiem do techniki, co do mistyki pisarstwa. *Kalendarz i klepsydra* (i tytuły kolejne) to „łże-dziennik”, „ulepiec”, jak mówi o nim Konwicki, traktujący nade wszystko o atrakcyjno-magnetycznej materii zafałszowanego życia – stolicy i prowincji, prowincji w stolicy, stolicy w prowincji, itd. Czego jak czego, ale u Parandowskiego nie znajdziemy niczego – w formacie maski, w układzie gry, w stylu „łże”. Także – komu

jak komu, ale jemu doświadczenie kabotynizmu musiało pozostawać biegunowo obce, a co najmniej niepasjonujące... Dla Konwickiego było obsesją, skoro nazywał Gombrowicza „kabotyńskim Michałem Archaniołem” [1] (za jego *Dziennik...*).

Kabotyn to uwodziciel, jednak czy nie takie jest prawo natury – od Don Juana począwszy, na Papkinie kończąc? Gorzej gdy uwodzicielem staje się ten, który pragnie mianować się łowcą kabotynów, dla którego może pisze się już: „Malleus scurrarum”... Na tym polega mój problem z Konwickim i brak problemu z Gombrowiczem, który świetnie równoważy magnetyzm swojego warsztatu dystansowaniem czytelnika od siebie... Otóż, Konwicki postępuje przeciwnie, jego inspiracyjność jest obezwładniająca – podobnie jak Konwickiego styl – przed Konwickim trzeba się obronić, odczuwać lęk przed wpływem, w każdym razie ja nie jestem urzeczony, a raczej sparaliżowany totalną atrakcyjnością jego intensywności... Mówiąc językiem Harolda Blooma, to klasyczny prekursor, przed którym efeba należałoby bronić, jeżeli tylko efeb nie potrafi bronić się sam. Dlatego kabotyński Rafael, tym określeniem starałbym się Konwickiego opisać, nie zawiera w swoich projektach środków przeciwko sobie, wszystko ma pracować na jego interes, wspierać oraz podtrzymywać, Rafael narodził się po to, aby przeżywać chwile Samsona. Michał Anioł, zdaje mi się, przeciwnie. Ta antynomia – warsztatowa, estetyczna, a może również i metafizyczna – między Michałem Aniołem a Rafaelem, dotyczyłaby także głębokiej sfery różnic między Witoldem Gombrowiczem a Tadeuszem Konwickim.

Nie chcę przez to powiedzieć, że Konwicki ma jakiś triumfalistyczny kompleks, są jednak pisarze, którzy pozostają dla mnie, jakby to powiedzieć... nazbyt ewokatywni: to oznacza, że ich styl ewokatywny

jest za mało dyskretny, że może nie są jeszcze efektowni, powierzchownie efektowni, niemniej jednak bliscy są jakiejś ewokatywnej szarży, ta nie koresponduje zaś z celami, które sobie przedsiębrali, innymi słowy, ich estetyka przytłacza nieco etykę, cele estetyczne dominują nad celami etycznymi, zamiast tworzyć z nimi rodzaj synergii. Są momenty, w których za swoją „nieproporcjonalność” Konwicki obwinia syndrom wileński, ale twierdzi, równocześnie, że to ten syndrom go ostatecznie zrodził – „rozkochany w sobie, rozsakotany w sobie, rozjątrzony sobą do ostateczności”, „więc sam, sobą, o sobie, do siebie”, „a rozsakotany to po wileńsku jakby rozgadany” [2], na sam koniec jeszcze dopowie. Aż strach pomyśleć, co byłoby, gdyby to Gombrowicz pochodził z Wilna (więc jak wyglądałby „rozsakotany” *Dziennik?*). To nie triumfalizm więc, tłumaczy nam się Konwicki, to „rozsakotanie”:

Ja nie piszę prawdy. Ja piszę jakieś półprawdy, zawijasy, omamienia, przemilczenia, niby to szczerości, udawane otwartości, produkuję ten cały szum literacki, bitą pianę nad rzeką faktów, wielką mgłę, w której błądzimy z wyciągniętymi rękami [3].

To już z *Nowego Świata i okolic*, a wcześniejszy cytat pochodził ze *Wschodów i zachodów księżycy*. Czegokolwiek by o nim nie mówić, to wielka zasługa Konwickiego, a przed nim Gombrowicza, że dziennik staje się dla nich obu formą tekstu – jeżeli, czy o ile można – postmoralizatorskiego, postmoralizacyjnego, zdolnego zawieszać lub przynajmniej osłabiać prawa moralności. Jako „łże-dziennik” staje się on w jakimś sensie polem eksperymentalnym, na którym estetyka ma zdominować etykę, prawa tekstu mają zdominować prawa rzeczywistości, a w końcu prawa literatury (dobrej literatury) mają zdominować prawa życia (godnego życia)... Oczywiście, Konwicki nie

był pierwszy, w ten sam sposób postępował chociażby Marek Nowakowski we wcześniejszych od *Kalendarza i klepsydry Robakach*, tyle że *Robaki* jeszcze były fikcją, fikcją autotematyczną, *Kalendarz* natomiast, *Wschody, Nowy Świat* to autofikcja. Z Nowakowskim jesteśmy być może bliżej *Ferdydurke*, z Konwickim – bliżej *Dziennika* [4]. Nie jest możliwe być gdzie indziej.

Z całych *Wschodów i zachodów księżycy* najbardziej podziwiam u Konwickiego mitologizowanie erotyki (w opisach nadwiślańskich plaż stolicy), a jeszcze bardziej jej naturalizowanie (słynne, chyba wciąż do dziś pamiętane fragmenty erotycznych podbojów Konstancina przez warszawiaków i przyjezdnych). Może zacznijmy od stołecznej mitologii erotycznej w niepowtarzalnej literackiej artykulacji Konwickiego sformułowanej w tonie rewelacyjnego arcyoskarżenia, bo „ileż warstw bujdy nosimy w sobie niczym cebulowych łusek”. „Niektórzy wyglądają jak stare karczochy. Prawda to jest instykt gwałcony codziennie przez nas wszystkich. Prawda to jest ostatni łyk tlenu” [5] – to iście ezechielskie napomnienie jeszcze z *Kalendarza i klepsydry*. Ale *Wschody i zachody księżycy* to już nie czas oraz nie miejsce na uprzejmość w duchu *pluralis maiestatis* – czas wyraźniej określić adresata. „Warszawskiego biedermeiera”, a więc – strach mówić – seks-filistra lat 70. XX wieku? Ależ nie zawsze – Konwicki ma na myśli kogoś o wiele gorszego i staje się kimś gorszym – w ramach i w planie kreacji – z mizoandryczną, ale i seksofobiczną lubością przyglądając się PRL-owskiemu parodiom męskości i człowieczeństwa. Temperatura tekstu udziela mu siły niezawodnego magnetycznego oddziaływania na czytelnika, natomiast fragmenty *Wschodów*, które przywołam za moment, należą do najmocniejszych nie tylko w całej książce, ale też i całej twórczości autora *Kroniki wypadków miłosnych...* Konwicki a de

Sade? Ależ to paralela całkowicie możliwa do przeprowadzenia w świetle jego trzech sylw, rozliczających nie tyle warszawski libertynizm, co erotomański chaos stolicy:

Kto z nas, to znaczy z was, nie jeździł, nie chodził albo nie czołgał się resztą sił nad Wisłę w celach erotycznych. Czynili to mężczyźni i skobieciejące półcioty udające z wysiłkiem mężczyzn. Bo wtedy jeszcze różnym hybrydom chciało się udawać samców. Wtedy im się opłacało jeszcze sięgać do rozporka. Sunęli nad Wisłę ułomni, poszkodowani przez wojnę, a także upośledzeni przez naturę. Ruszały w stronę rzeki typki o rysach Quasimoda i wykwintni bikiniarze stylizujący się na Gerarda Philippe'a. To były wyspa Lesbos i Sodoma Warszawy. To były plac Pigalle i prasłowiańskie Copulatorium. To były zamtuzy ubogich i niebo markiza de Sade [6].

Czytając podobne fragmenty, niekiedy miewa się silne wrażenie, że u Konwickiego moralizator, aby być moralizatorem, musi stać się de Sade'em, chociaż może nieco inaczej – Ezechiel, aby być Ezechielem, wprawdzie musi stać się de Sade'em. To oczywiście wyłącznie pewien epizod *Wschodów i zachodów księżyca*, ale ważny, ważny niezmiernie, ażeby, jak myślę, zrozumieć, całą osobliwość przenicowanej moralistyki, moralistyki *à rebours* – moralistyki bez moralizatorstwa uprawianej przez Konwickiego:

Coś mi się płące w pamięci, że kiedyś te okolice Konstancina to był nasz rezerwat zwariowanego seksu. Może się mylę, może mnie pamięć zawodzi, ale kiedyś w owe strony wiosną, latem i jesienią pomykało się z panienkami, wdowami, a także cudzymi żonami. [...]

Były to nasze, to znaczy ich, moich kolegów, jakby rewiry łowieckie. Jeden jeździł tylko na piaseczek, drugi mógł tylko pośród kwiatków. Inny biegł w wikliny, tamten bezwstydnie ekshibicjonował się na pustych łąkach podglądany tylko przez podniecone rybitwy. A wszyscy udawali, że się nie znają [7].

„Nasz rezerwat zwariowanego seksu”. I zaraz poprawka, jak gdyby popełniał *lapsus memoriae*: „były to nasze, to znaczy ich [...] jakby rewiry łowieckie” [8]. Od tej autokorekty, która autokorektą nie jest – autokorekty, która niczego nie sprostowuje, nie poprawia – ale mnoży tylko dalsze przekłamania (pod pozorem prostowania „faktów fikcji”). Zaprawdę można w sylwach Konwickiego zwariować. To, że jako kabotyn stara się pozostawać młotem dla kabotynów, to tylko połowa całej prawdy. Druga połowa zawierałaby się w stwierdzeniu, że staje się młotem dla weredyków, dla których jego gra nie tylko pojęciami prawdy i fikcji, ale również pojęciami tego, co da się zweryfikować i tego, czego się zweryfikować nie da, musi pozostawać zupełnie nie do zniesienia. Czy w tym tkwią moje własne źródła fundamentalnej nieufności względem Konwickiego oraz jego projektu literackiego autotematyzmu?

Że usiłuję mówić o sprawach ostatecznych dla naszego społeczeństwa i o jakichś tam mało ważnych kolegach. Że prawie co nieco o moim rozumieniu kosmogonii i przypominam sobie jakieś erotyczne incydenty. Że piszę o literaturze przez wielkie el i o warszawskich kurwach [...]. Bo ja jestem ostatnim szlacheckim gawędziarzem. Jeszcze co dopiero żyli tacy mistrzowie tego polskiego gatunku literackiego jak Wańkowicz, Mackiewicz, ksiądz Meysztowicz. Ale już ich nie ma [9].

„Jestem ostatnim szlacheckim gawędziarzem”. A więc tyleż kosmokrónikarzem, co i pornokrónikarzem? To z *Nowego Świata i okolic* z 1990 roku. Wysługując się tutaj całą błyskotliwością, ale również i poręcznością elipsy, powiedziałbym, że tak, jak daleko od Parandowskiego do Konwickiego, od *Alchemii słowa* do *Kalendarza i klepsydry*, tak też – uważam – daleko będzie od skupionej, dystynktywnej (pełnej dystynkcji) i esencjonalnej dygresyjności eseju do dygresyjności sylwy, pełnej świadomych, a przecież również i mimowolnych rozproszeń oraz ostentacji. Innymi słowy, daleko będzie od sylwisty, jakim wydaje mi się Konwicki *primum inter pares* do eseisty, a wzorem dobrego metaliterackiego eseju polskiego nieodmiennie wydaje mi się Parandowski. Tak, chcę przez to powiedzieć, że przykład Konwickiego i Parandowskiego, a powiedziałbym wręcz – przykład antagonizmu Konwickiego i Parandowskiego, dowodzi, że esej to gatunkowa antypoda sylwy, a sylwa to gatunkowa antypoda eseju. Nie zachodzi między nimi żadne realne podobieństwo rodzinne (raczej: złudzenie rodzinności, złudzenie wspólnego rodowodu).

Zakończmy może stwierdzeniem Jana Prokopa, ale też i jego swobodną trawestacją. Widział on w klasycyzmie generacji Parandowskiego „wcielenie witalizmu poszukującego ładu” [10]. Ja w antyklasycyzmie sylw Konwickiego widzę wezwanie do pracy w odwróceniu, konieczność nicujących przewartościowań – wcielenie witalizmu dla porzucenia ładu – w geście ekspiacji jakiegoś wielkiego, całkowicie transcendentalnego ideału wolności... To wolność poza literaturą, pojętą jako wszelki ruch ludzki: przemysłowy, wydawniczy, a przy tym krajowy, koncernowy, cenzorski, polsko-polski. W tym sensie Konwicki

będzie istotnie transcendentalistą. Transcendentalistą PRL-u, gdzie umysł twórczy PRL-u, nadawcy i odbiorcy, autora oraz czytelnika, staje się przedmiotem przejmującej refleksji transcendentalnej:

Taka jest prawda, kochani. Te wszystkie typki, które uwielbiacie, o których mówicie: ona ma takie lekkie pióro, ach, ile w nim wdzięku, och, jaki on mądry, tylko do notesiku wypisywać złote myśli, te wszystkie typy przymilają się do was z chytrości, z dzikiego egoizmu, z szalonego parcia, żeby został vice-bogiem. Nic ich nie obchodzie. Interesuje ich tylko wasze uwielbienie jako masa statystyczna, jako liczba, która zmiażdży liczbę innego rywala literackiego [11].

Karol Samsel

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

[1] Szerszy kontekst – „Dlaczego tak mało cugłów, wiatrów, trąb powietrznych, piorunów kulistych pod naszym niebem intelektualnym? [...] Więc żarłem tego Gombrowicza i oczy wyłaziły mi z orbit. Kochałem tego Gombrowicza, kabotyńskiego Michała Archanioła z mieczem szyderstwa w dłoni, co ganiał polskich kabotynów po polskim niebie”. T. Konwicky, *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 1989, s. 96. Zob. również: M. Bielecki, *Niebezpieczne związki, czyli romans Tadeusza Konwickiego z Witoldem Gombrowiczem*, „Pamiętnik Literacki” 2007 z. 3, s. 75-92.

[2] T. Konwicky, *Wschody i zachody księżycy*, Warszawa 1990, s. 198.

[3] Tegoż, *Nowy Świat i okolice*, Warszawa 1999, s. 31.

[4] Zob. w związku z tym także mój tekst o Robakach Marka Nowakowskiego: K. Samsel, *Marek Nowakowski intertekstualny. „Robaki” w oczach swoich współczesnych*, „eleWator” 2020 nr 4, s.

[5] T. Konwicky, *Kalendarz i klepsydra*, dz. cyt., s. 6.

[6] Tegoż, *Wschody i zachody księżycy*, dz. cyt., s. 161-162.

[7] Tamże, s. 160-161.

[8] Tamże, s. 161.

[9] T. Konwicky, *Nowy Świat i okolice*, Warszawa 1990, s. 71-72.

[10] J. Prokop, *Prozaicy dwudziestolecia międzywojennego. Sylwetki*, red. B. Faron, Warszawa 1974, s. 484.

[11] Tegoż, *Wschody i zachody księżycy*, dz. cyt., s. 133-134.